

Stanisław Chojnowski, Wojciech Sadowski

„Ta szkoła ze wszech miar zasługuje na monografię” : z ks. kanonikiem Stanisławem Chojnowskim rozmowę przeprowadził Wojciech Sadowski

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 13, 185-188

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**„Ta szkoła ze všech miar zasługuje na monografię”.
Z ks. kanonikiem Stanisławem Chojnowskim
rozmowę przeprowadził Wojciech Sadowski**

Wojciech Sadowski: Powiedz, ale tak szczerze, dlaczego swą drogę do kapłaństwa rozpocząłeś od Małego Seminarium w Gorzowie, a nie w Słupsku?

Ks. Stanisław Chojnowski: Do Niższego Seminarium w Gorzowie poszedłem dlatego, że było na miejscu, w mieście mego zamieszkania, w mieście które stało się celem podróży moich rodziców wygnanych z ojcowizny pod Grodnem. Niewątpliwie mogłem wybrać Słupsk lub inną miejscowość, gdzie było seminarium, lecz nie chciałem.



Ks. kanonik Stanisław Chojnowski (2006)

Wybrałem seminarium duchowne, ponieważ miałem potrzebę zdobywania prawdy, którą w moim przeświadczeniu tylko taki zakład oświatowo-wychowawczy gwarantował. Pamiętajmy, iż na początku lat 50. fakty mieszano z fikcją. *Ziarna* prawdy przechowywane w tajemnicy w domu, w rodzinie nie mogły być głoszone publicznie. Gazety, radio, szkoły pozbawione były wiarygodności, były zafałszowane. Oczywiście jako dziecko nie wszystko rozumiałem. Więcej instynktownie wyczuwałem. Byłem, tak jak i ty, dzieckiem wojny i wiedziałem, praktycznie wiedziałem, jak wielka jest siła zła. Nam nikt nie musiał tłumaczyć, co to znaczy zimno, głód, upodlenie lub morderstwo. Równocześnie z rozmów z rodzicami

wyniosłem przekonanie, że ludziom można służyć tylko na drodze prawdy. Ojciec stale powtarzał, że „szczęście to prawda”. Należało więc poznać prawdę, zgłębić jej istotę. Gwarancją spełnienia takiego zamierzenia dawało Małe Seminarium, a nie opanowana przez ideologię komunistyczną szkoła świecka. Przy wyborze kierunku poszukiwań i szkoły pomogli ojcowie oblaci, ci prowadzący parafię przy ul. Brackiej. Otrzymałem od nich pewnego dnia książkę autorstwa Ojca Fabera „Postęp duszy albo wzrost świętości”. Tą trudną pozycję przeczytałem i przemyślałem. Ona wyjaśniła mi, czym jest duchowość człowieka. Pokazała, jak marne są dywagacje domorosłych komunistów nauczających w ówczesnej szkole. To byli przecież świeżo upieczeni marksiści i leniniści głoszący „swą naukowość” bez przekonania, dla pieniędzy. Dziś, z perspektywy czasu, współczuję tym ludziom, nie zazdroścę im mąk, które musieli przeżywać, głosząc przekonania wbrew własnym sumieniom. To ci niby-marksiści wypaczali nasze umysły i dusze. Na marginesie chcę dopowiedzieć, że oblaci robili dobrą robotę i to zarówno ci z Brackiej jak i Woskowej. To dzięki im wielu chłopców uniknęło zwichrowania umysłu i sumienia. Przypomnij sobie, że w tym czasie obie te placówki posłały do seminarium około 20 chłopców. Księżmi zostało paru, lecz pozostali dzięki dobremu uformowaniu są dziś porządnymi ludźmi. Widzisz więc, że dążenie do prawdy przymusiło mnie do pozostania księdzem. Dziś mogę ci powiedzieć, że prawdę posiadam, a jest nią Chrystus i Ewangelia.

WS: Czy możesz podać kilka informacji ze swego i rodziny życia? Co to była za rodzina, w której czczono prawdę zarówno tę ludzką jak i boską? Proszę Cię, tylko nie opowiadaj, że to była rodzina o wielkiej religijności. Tego typu przekaz zawiera życiorys każdego księdza i jest w moim przekonaniu informacją wyświechtaną.

SC: Urodziłem się w 1936 roku w Grodnie. Ochrzczony zostałem w farze grodzieńskiej. Matka chrzestna Cezaria Błażuk jeszcze żyje. Mieszka w Czersku. Ojcem chrzestnym był Stanisław Kosinkowski i już nie ma go na tym świecie. Możesz więc jechać do Czerska i poinformować się. Nie widzę również potrzeby dodawania swoim rodzicom splendoru, skoro mój ojciec nawoływał do szacunku dla prawdy. Była to więc rodzina normalna, katolicka. Zachowywała praktyki kościelne w takim samym stopniu, w jakim przestrzegało ich otoczenie. Życie swoje starała się oprzeć na przykazaniach Bożych, co nie oznacza, iż wykonywała je ściśle.

W Grodnie rozpocząłem też edukację podstawową. Niestety w szkole białoruskiej, a raczej rosyjskiej, opanowanej przez bolszewików. Ukończyłem w niej pierwszą i drugą klasę. Miałem więc okazję spotkać „Dziadka Mroza” zamiast św. Mikołaja. Również w Grodnie przyjąłem Pierwszą Komunię św. Ojciec Aleksander do 1939 roku był pracownikiem w sądzie, a Mama Franciszka z domu Żubrawska zajmowała się gospodarstwem domowym. Żubrawscy byli ludźmi znanymi w Grodnie. Zarobek ojca starczał, aby utrzymać rodzinę i to na poziomie godziwym. Rodzice posiadali nawet pomoc domową. Pochodzę więc z rodziny inteligentkiej i średniozamożnej. Mam starszą od siebie siostrę Danutę. W Grodnie urodziła się też młodsza moja siostra Teresa. Po wkroczeniu bolszewików ojciec musiał ukrywać się. Enkawudziści często nachodzili dom, licząc, że pochwycą go. Pozostał u mnie też engram z niedokończonej podróży na Sybir. Pociąg, którym nas wieziono – był to czerwiec 1941 – zbombardowali Niemcy. Powróciliśmy do Grodna. Drogę powrotną odbywaliśmy etapami; mieszkańcy określonej wioski, z własnej woli, wieźli nas furmankami do osady sąsiedzkiej. W Grodnie stacjonowali już Niemcy.

Po zakończeniu wojny i zmianie granic państwowych musieliśmy wyjechać do Polski. Na Zachód przybyliśmy w 1946 roku. Mama nie chciała jechać, ale co było robić. Rodzinne

strony żegnano łzami. Złorzeczono tym, którzy wywołali wojnę, szczególnie Niemcom. Wyobraź sobie nasze przerażenie, gdy musieliśmy osiedlić się w nieznanym Gorzowie, często nazywanym Landsbergiem. Zamieszkaliśmy w domu przy ul. Brackiej 18; dziś budynku tego już nie ma. Ojciec *znalazł* zatrudnienie w sądzie. Mama prowadziła dom i uprawiała działkę. Mnie posłano do szkoły podstawowej nr 2 przy ul. Przemysłowej. Po utworzeniu z niej szkoły Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, zobacz jaka to była ironia, znalazłem się w szkole nr 4 przy ul. Grobla. W Gorzowie urodziła się kolejna moja siostra Halinka (nie żyje) i najmłodsza Helena, u której otrzymałem emerycki ką.

WS: Jak Twój wybór przyjęli rodzice? Przecież byłeś jedynym ich synem, spadkobiercą nazwiska, kontynuatorem rodu. Narażałeś ich oprócz tego na przykrości ze strony władz, szczególnie ze strony ubowców.

SC: Rodzice nie czynili mnie żadnych wyrzutów. Tata nie był przeciwny, absolutnie nie. Mama natomiast, jako osoba pod względem wiary gorliwsza, cieszyła się. Spełniała się jej obietnica dana Bogu, że jak ojciec wydobędzie się z więzienia (jeszcze w Grodnie), to któregoś z dzieci poświęci się Bogu. O uwolnieniu Taty każdego dnia prosiła Matkę Boską Nieustającej Pomocy. Modlitwa poskutkowała, ponieważ ojcu udało się uciec z „bolszewickiego sanatorium”. Mama liczyła, iż któraś z córek poświęci się zakonnemu życiu. Okazało się inaczej. Bóg wezwał mnie na służbę i z faktu tego jestem bardzo zadowolony. W życiu kapłańskim znalazłem spełnienie się, znalazłem prawdę. Sakrament kapłaństwa otrzymałem w 1961 roku z rąk ks. bpa dra Wilhelma Pluty. Pracowałem w Okonku, Stargardzie Szczecińskim, Białogardzie, Siemczynie. Tuż przed emeryturą byłem proboszczem w Starej Wiśniewce.

WS: Zatrzymajmy się na Małym/Niższym Seminarium Duchownym. Jakie wspomnienia wyniosłeś z tego zakładu wychowawczego?

SC: Wspominam go bardzo dobrze. Umożliwiło mi zdobycie wiedzy z zakresu szkoły średniej. Seminarium było zresztą czymś więcej niż liceum. Przypomnij sobie stojące na akademickim poziomie wykłady z historii, łaciny czy greki. Nie zapominaj o wstępnym nauczaniu hebrajskiego oraz o wspaniałych wykładach filozoficznych. Maturę zdałem w 1956 roku. Uczył mnie Bolesław Kudelka i jego żona Antonina. Pani profesor uczyła języka niemieckiego. Języka polskiego uczył Zbigniew Cierkoński. Ten patriota i pasjonat polskiej literatury wyreżyserował nawet „Dziady”, w których występowałem jako aktor. Profesor dowodził nam, że kulturę trudno oddzielić od religii, a zwłaszcza od chrześcijaństwa, a katolicyzmu od patriotyzmu. Dobrze pamiętam matematyczkę Helenę Sawczyńską. Wspominam ją najmilej. Była to nauczycielka, która miała serce i cierpliwość dla ucznia. Umiała uczynić matematykę nauką łatwą i zrozumiałą, dodać chęci do nauki oraz wzbudzić wiarę w swoje siły. Łaciny początkowo uczył ks. Wiktor Panecki, a potem dojeżdżający z Poznania nauczyciel uniwersytecki Andrzej Wójcik. On uczył też greki. Język grecki był moją zmurą. Aby sprostać wymaganiom prof. Wójcika, więcej wkuwałem niż rozumiałem. Z łaciną radziłem lepiej. Wyśmienicie radziłem z językiem rosyjskim. Ks. Rektora Jana Wujdę wspominam jako człowieka, który znał życie. Wujda swoim sercem był bliski każdemu z nas. Kochał ludzi biednych. W tym względzie był przykładem dla swoich wychowanków. Bardzo często przypominał nam, że księżmi „powinni zostawać ludzie godni choć głodni”. Napominał, aby kapłaństwa nie traktować jako źródła bogacenia się. Ks. Rektor był jednak człowiekiem porywczym, ale też wspaniałym muzykiem. Potrafił nauczyć grać na danym instrumencie nawet „głuchego”. Pamiętam jak ks. Wujda chwalił Michała Czajkowskiego za to, że dużo czyta i słabo gra na fisharmonii.

Na moim kursie egzamin dojrzałości zdało 20 chłopców. Księżmi zostało kilku. Kilku z nich nie żyje, a pozostali są rozproszeni po świecie.

Dzisiejszego księdza infułata Mieczysława Marszałika zapamiętałem jako sympatycznego prefekta, troszczącego się o sprawy gospodarcze i porządkowe. Do jego zadań należało też uczyć nas *savoir vivre*. Za moich czasów on nie uczył. Pasją księdza prefekta były długie i szybkie spacery, które dwa razy w tygodniu odbywał z określoną klasą. Z przechadzki takiej wracaliśmy spoceni. To dzięki ks. Marszałikowi mieliśmy dobrze zorganizowaną kuchnię i smaczne, choć skromne jedzenie. To Marszałik troszczył się o czystość naszej bielizny osobistej i pościeli. Ks. prefekt tworzył nam warunki do spokojnej nauki. Winniśmy mu dziękować za matczyną troskę. Marszałik umiał każdego z nas właściwie ocenić, a zarazem udzielić adekwatnej pomocy.



*Ołtarz w kaplicy Niższego Seminarium
Duchownego (lata 50.)*

WS: Życie alumna było monotonne. Czy pamiętasz atrakcje?

SC: Zgadzam się, było monotonne, lecz nie było nudne. Zawody pływackie, mistrzostwa gry w siatkówkę, wizyty rządców diecezji, wyjazdy z orkiestrą na odpusty, wycieczki turystyczne. Atrakcją dla urwisów (a tacy są wszędzie) był internat pielęgniarek, którym posyłali „lustrzane zajaczki”. Denerwowało to ks. Marszałika. Polecił sprawić na wszystkie okna „zazdrostki”. Zasłonki nieco pomogły, ale niezupełnie. Każdy przypadek „słonecznego kontaktu” z pielęgniarkami przysparzał Ojcu Duchownemu ks. Wiktorowi Paneckiemu dodatkowej pracy. Zbierał on alumnów w kaplicy i wygłaszał reprimendę. Przymykał oczy i wygłaszał pogadankę na temat koniecznej w naszym wieku czystości myśli i serca. Żartowaliśmy, że ks. Wiktor zamyka oczy, aby przy okazji zdrzemnąć się. Swego czasu do księdza Wujdy przyszedł mężczyzna ze skargą, że chłopcy zagląдают do jego kuchni i do garnków. W ten sposób chciał powiedzieć, że chłopcy flirtują z jego żoną. Ksiądz Rektor poradził mu, aby żona nakrywała garnki pokrywkami i nie kusila alumnów dobrym jedzeniem.

Generalnie należy uważać, że życie seminarzysty toczyło się „pod kloszem”. Zbyt było odizolowane od świata. Przypominało bardziej erem niż placówkę przygotowującą kandydatów do wyższego seminarium duchownego. Chroniono nas skutecznie przed okropnościami ustrojowymi. Żyliśmy w kraju opanowanym przez bolszewików, nie znając bolszewików. Nie wiem czy to było dobre. Mimo to osobiście jestem wdzięczny nauczycielom z Niższego Seminarium, w intencji których bardzo często odpawiam Mszę św. Szkoła ta ze wszech miar zasługuje na monografię, jakąś poważną publikację książkową. Była to wyspa prawdy, placówka nie tylko nauczająca, ale i formująca osobowość człowieka.